

Biało-czerwona deska ratunku

17 grudnia 2010



Czy lewicowy patriotyzm to oksymoron? Wydaje się, że nie powinno tak być. Ale lewica rzadko odwołuje się do patriotycznych haseł utrwalając w ten sposób kojarzenie ich z etnicznie rozumianym narodem oraz z wykluczeniem wszystkiego, co inne. Jest to poważny błąd i to nie tylko taktyczny – danie do ręki przeciwnikowi paru argumentów więcej. Jeśli jednak projekt lewicowy rozumieć jako kwestię upodmiotowienia, to nie może on ograniczać się do ekonomii – musi sięgnąć także do kwestii tworzenia własnej tożsamości oraz autonomii w sferze idei. Pojęcia patriotyzmu i tradycji, które przyzwyczailiśmy się uważać za domenę prawicy, powinny zostać odzyskane i przededefiniowane tak, aby nie służyły wykluczeniu, ale wręcz przeciwnie – tworzeniu tolerancyjnej i otwartej polskiej tożsamości.

Zastanówmy się na początek, dlaczego stereotypowy prawicowo rozumiany patriotyzm jest wykluczający. Co chcieli zmanifestować i kim byli uczestnicy tegorocznego marszu narodowców? Dla ich gwizdzących przeciwników byli po prostu faszystami. Słowo to nieco ahistorycznie zaczyna oznaczać ludzi, którzy nienawidzą innych (zwłaszcza Żydów i homoseksualistów) i chcieliby z tych innych „oczyścić” Polskę, albo przynajmniej dać im wyraźnie do zrozumienia, że nie są tutaj u siebie. Oni sami powiedzieliby po prostu, że chcieli

pokazać dumę ze swojej polskości i z odzyskanej niepodległości – i chyba także bronić tej niepodległości przed zagrożeniami, które ze względu na autocenzurę nie zostały w tym roku w pełni wyrażone.

A zatem groźni kibole i niebezpieczne „zwierzęta”, jak w poblokadowym ferworze napisał Michał Sutowski, czy dumni patrioci i obrońcy niepodległości? Nie wydaje się, by te dwa opisy dało się pogodzić, więc może przydałaby się zupełnie inna perspektywa? Spójrzmy na zdjęcie, na którym narodowcy niosą wielką flagę. Potrzeba ich do tej ogromnej, biało-czerwonej płachty chyba kilkunastu – długa i szeroka na całą ulicę. Zdjęcie zrobione jest z góry i ludzie niosący flagę wydają się być małymi, bezradnymi ludzikami uczepionymi jej kurczowo jak tratwy na wzburzonym morzu. Ostatniej deski ratunku.

Gdy dotarłam na Plac Zamkowy również nie wyglądali groźnie ani niebezpiecznie. Stłoczeni pod Zamkiem Królewskim, otoczeni szczelnym kordonem policji – pod lasem flag oczywiście – wyglądali raczej żałośnie niż bohatercko. Było ich bardzo mało w porównaniu do tłumów, jakie zeszyły się, aby z gwizdkami blokować ten całkowicie niesłuszny moralnie marsz. Też przyszłam oczywiście – tolerancji trzeba bronić. Fajnie poczuć, że się robi coś ważnego, walczy o dobrą sprawę przeciwko tym złym. Fajnie, ale czy jednak nie za łatwo? I czy od tego dobrego samopoczucia nie prowadzi szybka droga do chwycenia za kamień i uderzenia w tych, co nam przecież zagrażają i w ogóle zasadniczo są źli?

Ale jeśli nie gwizdać, to co? Może spróbować zrozumieć? Tym bardziej, że patrząc na flagę nie potrafię czuć oburzenia ani lęku – to także przecież mój symbol. Dlaczego zmienia się w oręż wykluczenia i jednocześnie ostatnią deskę ratunku?

W książce „Strach przed mniejszościami: esej o geografii gniewu” Arjun Appadurai stawia tezę, że mniejszości są tak groźne dla grup większościowych, gdyż zawsze koleje losu mogą

się odwrócić i każda większość jest potencjalną mniejszością. Co gorsza, każda większość jest już teraz mniejszością z szerszego, globalnego punktu widzenia. Jest to śmiertelnie niebezpieczne, ponieważ w tym sposobie myślenia rządzi siła i nie ma miejsca na liczenie się z mniejszościami. Jeśli będzie nas za mało, przestaniemy mieć jakikolwiek wpływ na to, co się dzieje. Po prostu przestaniemy istnieć.

Drugą ideą napędzającą ten lęk jest idea nieuchronnej modernizacji nadchodzącej ku nam z wszytkowiedzącego i wszechwładnego centrum świata – cywilizowanego Zachodu. Raz na zawsze wszystko tam ustalono i my, prowincjusze, możemy się tylko dostosowywać – byle jak najszybciej wyrwać się z naszego zacofania! Tego rodzaju podejście odbiera podmiotowość „peryferyjnym” odbiorcom modernizacji i wiele pisali o tym teoretycy postkolonializmu w odniesieniu do tzw. krajów trzeciego świata. Ale liberalne oraz lewicowe elity w naszym, drugim świecie wciąż opierają argumentację za różnymi skądinąd pożądanymi zmianami na tego typu założeniach, zwykle nie wypowiedzianych wprost. A przecież to, co przychodzi z zewnątrz i jest przedstawiane jako z definicji najlepsze, a zatem niemożliwe do odrzucenia, nieuchronnie musi powodować opór i lęk, że giniemy, bo nie mamy wpływu na to, co się z nami dzieje.

Te dwie idee stanowią chyba emocjonalne źródło transparentu, jaki widziałam na manifestacji: „sprzedaliście niepodległość traktatem lesbońskim”. Być może jakieś lesbijki pracowały przy powstawaniu Traktatu Lizbońskiego, ale obawiam się, że największy wpływ na niego mieli jednak biali, heteroseksualni mężczyźni. Ale to lesbijska mniejszość i jej równe prawa wprowadzane jako nieunikniony proces cywilizacyjny są groźne dla naszej „normalnej”: heteroseksualnej i męsko-centricznej większości.

Jakie jest wyjście z kleszczy tych dwóch lęków przed utratą kontroli nad własnym losem? Wbrew pozorom nawet bycie globalną większością i najbardziej centralnym centrum wszelkich idei

nie rozwiązuje tego problemu. Jedynym państwem, które może sobie rościć takie pretensje, są oczywiście Stany Zjednoczone. Jednak i w tym wypadku omnipotencja jest jedynie iluzją. Co gorsza, prowadzi ona do porzucenia wszelkich wartości moralnych, jeśli tylko jest to konieczne dla utrzymania tego złudzenia. W swojej analizie amerykańskiego przyzwolenia na stosowanie tortur Neil Altman pisze, że wynika ono z niechęci do uznania oczywistego faktu, że także globalnemu hegemonowi może zagrozić garstka terrorystów. Nikt nie jest bezpieczny i tak, jak większość może szybko stać się mniejszością, tak też odwracalne są relacje władzy. Zdeterminowany terrorysta gotowy do zniesienia najgorszych cierpień za swoje idee jest w stanie sprawić, że jego przeciwnicy – pozornie posiadający nad nim totalną władzę – staną się całkowicie bezsilni.

Nie ma ucieczki od współzależności, a skoro nie możemy ubezpieczyć się od ataków rozmaitych mniejszości, może lepiej zadbać o to, żeby nie chciały nas atakować? Albo zbudować świat, w którym mniejszości się liczą, więc nie trzeba panicznie się bać, że sami zostaniemy mniejszością? Nie musielibyśmy wtedy ogradzać naszego małego podwórka, żeby przynajmniej na nim mieć większość.

Poza tym mniejszości oraz większości i tak nie dadzą się precyzyjnie zdefiniować – każdy z nas przynależy jednocześnie do wielu grup i w różnych kontekstach bywa mniejszością lub większością. Różne tożsamości się przenikają, a próby zdefiniowania na przykład polskości jako czegoś jasno określonego i jednolitego nie tylko muszą skończyć się niepowodzeniem, ale też sprawiają, że taka polskość stanie się jeszcze mniejszą mniejszością. Jeśli bowiem polskość nie może współistnieć z litewskością, to tracimy nie tylko noblistę Miłosza, co dla niektórych nie jest bynajmniej stratą bolesną, ale także wieszczkę Mickiewicza i najśłynniejszy polski wiersz patriotyczny „Litwo, ojczyzno moja”. Podobnie z żydowskością – ktoś wyliczył, że każdy Polak z 90% prawdopodobieństwem ma jakichś żydowskich przodków. Nawet jeśli te szacunki są

przesadzone i tak naprawdę to „tylko” połowa, to i tak sporo, prawda? Nagle robi się nas dużo, dużo mniej... Ale jak można w ogóle mówić o prawdziwych Polakach, jeśli każde, ale to każde, dziecko w tym kraju nie może dorosnąć bez znajomości wierszy Żydów Tuwima i Brzechwy? I co z tym czystym seksualnie patriotyzmem, skoro „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród” pisała Konopnicka, która prawdopodobnie była lesbijką, albo może bi?

Alternatywą dla marszy narodowców nie powinny być gwizdy ani blokady, bo to jedynie utwierdza ich w poczuciu bycia ostatnią redutą patriotyzmu. Alternatywą powinien być inny patriotyzm, opierający się na szerokiej definicji polskości, w której mieści się i żydowskość, i homoseksualizm, i ciemny kolor skóry. Takie idee już się oczywiście pojawiały – na manifach tęcze flagi powiewają obok biało-czerwonych, istnieje też wiele imprez pokazujących przenikanie się kultury polskiej z innymi kulturami („Jestem z Afryki, jestem z Warszawy”). Święto niepodległości jest dobrą okazją, żeby we współpracy z różnymi organizacjami pokazać polsność jako zbudowaną z wielu kultur, postaw i idei – i dzięki temu silną.

Oczywiście idea tolerancji również jest polska. Nie jest to żaden import, tylko sięgnięcie do naszych własnych wielowiekowych tradycji. Podobnie Unia Europejska nie byłaby zagrażającym obcym, gdyby pamiętano, że idea federacji różnych narodów jest nam przecież historycznie bardzo dobrze znana. I o tym właśnie należy przypominać w to święto, a także zmienić codzienną retorykę modernizacji jako nieuchronnego stosowania obiektywnie najlepszych wzorców zdefiniowanych na cywilizowanym Zachodzie, na którą lewica podatna jest na równi z liberałami. Pewne rozwiązania warto przejąć, bo są dobre, inne może trzeba jakoś zmodyfikować do naszych potrzeb, a jeszcze inne możemy wymyślić sami i potem zaproponować je innym.

Tak jak stało się z mazurkami. Ale zanim pewien pół-Francuz zakochał się w polskich mazurkach i rozstawił je na cały świat, już w XVII wieku rozpoczęły one swoją ekspansję. Na

północy zostały przerobione przez Szwedów na taniec zwany po prostu „polska”, zaś Francuzi z mazurka zrobili mazurkę, która zawędrowała dalej, aż na Wyspy Zielonego Przylądka, oczywiście sporo zmieniając się po drodze. O tym wszystkim można się było dowiedzieć, posłuchać i zatańczyć na festiwalu Wszystkie Mazurki Świata, gdzie mazurek, symbol polskości, płynnie przechodził w polkę czy mazurkę, które wciąż są jakoś polskie, chociaż też szwedzkie i francuskie.

Spróbujmy potraktować biało-czerwoną flagę właśnie jak mazurek. Przestałaby ona wtedy być ostatnią deską ratunku, której musimy się chwytać, żeby obce nas nie zalało. Stałaby się bazą wielkiego obrazu, motywem, który każdy może po swojemu przerobić, czerpiąc z niego i jednocześnie w ten sposób go wzbogacając. Przynależność do pewnej tradycji i duma z niej dają konieczny punkt podparcia do aktywnego uczestnictwa w świecie idei, w którym dobre pomysły charakteryzują się właśnie tym, że stają się źródłem inspiracji, a nie narzędziem wykluczającej inności „czystości”. I na tym powinien polegać lewicowy patriotyzm. Bo tylko w ten sposób może być nas więcej.

Autor: Małgorzata Maciejewska

Zdjęcie: [Mateusz Grybczyński](#)

Źródło: [Lewica](#)